

Krystallina Autokratorias

Kefalaio III: “Anapáfsou en eirini.”

*Pre-reading: Dolar84, Niklas,
Korekta: SoulsTornado*

Święto. Jeśli coś świętujemy, znaczy, że z czegoś się cieszymy. Przygotowujemy jedzenie, przystrajamy dom, by emanował atmosferą nadchodzącego wydarzenia. Celebrujemy coś. Sprawiamy, że dzięki świętu nie ginie pamięć o ważnym dla nas momencie. Tylko co, jeśli mowa o Święcie Zmarłych?

Kryształowe *Imera ton Nekron*¹ było pełne znaczeń, symboliki, tajemnicy i mistycyzmu. Każdy gest, ruch, a nawet plan tego trzydniowego święta miał jakiś sens, jakąś wymowę. Odbywało się ono na przełomie dwóch miesięcy – bursztynu, nazwanego tak z oczywistego skojarzenia barwy tego kamienia z różnokolorowymi liśćmi, oraz kryształu mlecznego, zwanego w Cesarstwie *galithos*², choć gdyby zapytać starszych mieszkańców, powiedzieliby, że drugi dzień nie należy do żadnego miesiąca, ponieważ żaden z nich nie chciał mieć go u siebie, jak głosiła baśń “O Roku i dwunastu Miesiącach”:

Gdy wszystko zostało stworzone, nadszedł czas podziału i objęcia władania nad wszelkim stworzeniem. I tak Gis³ wziął to, co wysokie, Nero⁴ to, co niskie, Fos⁵ to, co jasne, Skotadi⁶ to, co mroczne, Thermotita⁷ to, co ciepłe, Krio⁸ zaś to, co zimne. Inaczej było z czasem. Wiadomo było, że Etous⁹ weźmie pod swe władanie jeden rok. Postanowił go równo podzielić między swych dwunastu synów, nazwanych Minami¹⁰, zaś resztę dni zatrzymać dla siebie. Synowie Etousa przystali na to i ustalili swoje granice bezspornie, w pokoju, jak nakazywało prawo. Z jednym wyjątkiem.

¹ Święto Zmarłych

² luźny związek słów gala (mleko) i lithos (kamień)

³ Ląd

⁴ Woda

⁵ Światło

⁶ Ciemność

⁷ Ciepło

⁸ Zimno

⁹ Rok

¹⁰ od Mina – miesiąc

Elektron¹¹ oraz Galithos kłócili się o to, kto ma panować nad jednym dniem pomiędzy obydwoma miesiącami. Elektron uważał, że on ma pełne do tego prawo, jako że w tym dniu ostatnie liście spadają z drzew, i to są rubieże jego miesiąca. Galithos zaś odpowiadał mu na to, że to w tym dniu zazwyczaj mgły są największe, i to jest przedmurze jego włości. Ignorując osąd ojca, który podzielił dzień na pół, wypowiedzieli sobie wojnę. Trwała ona długo, pochłonęła wiele ofiar i niezwykle klimat tego dnia, na poły ciepły i smutny.

Pewnego dnia bracia postanowili zaprzestać walk. Rozejrzeli się dookoła. Ich oczom ukazał się jałowy obraz terenu, zniszczony ciągłą zmianą linii frontu. Ich apetyty na ten dzień dziwnie szybko z malały. Przed ojcem obydwaj wyrzekli się go, jednak Etous dał ten dzień Galithosowi, jako że najbardziej pasował do jego charakteru – pustego, martwego, zamglonego miesiąca.

Nawet jeśli ktoś nie słyszał o tej baśni, to mógł odczuć wyjątkowość drugiego dnia, zwłaszcza że była potęgowana przez wydarzenia dnia poprzedniego, i następstwo dnia trzeciego. Dość już jednak ogółu, czas przejść do szczegółu, który to w tym akurat okresie grał pierwsze skrzypce.

Jak każde kryształowe święto, *Imera ton Nekron* zaczynał się od dekoracji. Te zaś, mimo że jak zwykle obfite, piękne i godne podziwu, tym razem wzbudzały w obserwatorze, a zarazem i odbiorcy przekazu, niepokój. Bo jak inaczej powiedzieć można o motywie *sexoualiki epati*¹², który to powtarza się na każdej girlandzie, wycinance w oknach od ulicy czy też papierowym witrażu? Na domiar złego nie przedstawiał on zazwyczaj czystego aktu *endoxi*¹³ (artystyczne wyrażenie na stosunek między ogierem a kłaczą), ale też spółkowanie Obywateli tej samej płci (akt *aidiastiko*¹⁴), czy też zbliżenia międzygatunkowego (akt *den epitrepetai*¹⁵) jak i uprawianie pedofilii (akt *ntropi*¹⁶). Nie było to przypadkowe. Każda ulica miała z góry narzuconą tematykę ozdób. Dekoracje nie były także monotematyczne, ponieważ do wyboru było aż siedem ich rodzajów, na podobieństwo siedmiu grzechów. Wyżej wymieniono przykłady zilustrowania jednego z nich – nieczystości. Oprócz niej, była także pycha, chciwość, zazdrość, gniew, lenistwo i obżarstwo.

Ulice, które ilustrowały grzech ostatni, zamieniały się w uczty godne samych cesarzy i imperatorów, zaś tym się różniły, że goście nie byli zbytnio arystokratyczni. Zazwyczaj w ten dzień głodujący i ubodzy mieszkańcy mieli swoje święto. Mogli podejść, wziąć kawałek pieroga z hibiskusem i zająć go, popijając szafranową herbatą – zupełnie jak *basileus*! W czasach głodu ogólnopaństwowego, bądź oblężenia, odstępywano od tak wystawnych uczt, choć nie zdarzyło się, by się nie odbyła, nawet jeśli na całe miasto zostawał jeden worek z ziarnem.

¹¹ bursztyn w starogrecie

¹² stosunek seksualny

¹³ chwalebny

¹⁴ obrzydliwy

¹⁵ niedozwolony

¹⁶ haniebny

Dekoracje zaś oprócz potraw przedstawiały scenki rodzajowe lub też motyw *epaino tis pachysarkias*¹⁷. Nawet najprzystojniejsi i najszczuplejsze oddawali się przyjemności smakowania, przeżuwania i polykania. To tylko jeden dzień w roku, mały urlop od rygoru diety narzuconej przez trenera z bardzo restrykcyjnym podejściem do takich rzeczy, po co więc się obwiniać?

Ulic „chciwych” należało się strzec jak ognia, jeśli majątek i ruchomości w kieszeniach bądź jukach drogie były sercu podróżnika. Co nie oznaczało, że były one jakoś mniej odwiedzane! Przeradzały się w małe dzielnice finansjery, lichwiarze wystawiali swe stoliki, na których leżały złote aureusy i srebrne argentusy oraz notatki kto, za ile i co zaprzedał. Oprócz nich, roito się od kieszonkowców i drobnych złodziejasków wszelkich maści. Co uczciwsi odsyłali portfele wraz z dokumentami, a jeśli się miało szczęście i trafiło na jakiegoś entuzjastę bądź nieświadomego przybysza, to i wracało wszystko, z dodatkiem pozdrowień napisanych na pergaminie. Jeśli zaś chodzi o strojenie ulicy, to raczej było ono skromne. Po co wydawać więcej niż to naprawdę niezbędne? Po co brać tamte kwiaty, jeśli tutaj są tańsze, sprzed tygodnia? To chyba oczywiste.

Ulice „gniewne” często musiały być pacyfikowane przez straż miejską z racji częstych i obfitych fal wszelakiego łobuzerstwa i pijaństwa gotowego walczyć o flaszkę wódki z samymi gryfimi panami wojny. To na adresy leżące przy tych przecznicach stałe, niczym promy, kursowały powietrzne zespoły ratownicze, których celem było szybkie dotarcie na miejsce, zapewnienie elementarnej pomocy oraz powrót do domu szpitalnego, gdzie poszkodowanemu świadczona była dalsza pomoc. Zespoły te w tych dniach wyposażone były dodatkowo w sprzęt medyczny przystosowany do opatrywania ran ciętych. Nie było bowiem Obywatela, który nie nosił przy sobie choć małego nożyka. Oczywiście to był tylko wierzchołek góry lodowej, bo oprócz rozbojów zdarzały się też awantury, samosądy na Matriarchini ducha winnych kucach czy też akty demolowania otoczenia. Stąd też podziwiać dekoracje na ulicach „gniewnych” można było tylko we wczesnych godzinach rannych. Pod wieczór nie było z nich co zbierać, tak jak i z niektórych fanatyków gniewu.

„Pyszne” ulice były obowiązkowym punktem dla podróżnych odwiedzających miasto w ten właśnie dzień. Konkurencję i rywalizację o najpiękniej przyzdobioną kamieniczkę, piętro, okno było czuć tak mocno, że gdyby zagęścić ją jeszcze trochę, należałoby w niej kopać, by móc się przemieszczać. W zasadzie i tak używano kilofa oraz innych narzędzi, gdyż najbardziej wymyślne dekoracje wymagały fizycznego zaangażowania odbiorcy w tworzenie dzieła. I tu także należy zwrócić uwagę na dwa rodzaje ulic. Bo o ile pierwszy, ten dobry, obejmował tylko pyszną, acz zdrową rywalizację, kwiaty, flagi, rzeźby czy mobilne fontanny, o tyle zły rodzaj ulicy wskazywał na totalny chaos. Nie tylko budowano dekoracje, wznoszono instalacje czy też kopano na środku ulicy stawy (pewnego razu przypadało ich statystycznie aż osiem na alejkę) i napełniano je wodą, sadząc rośliny wodne, wodorosty, wpuszczając nawet ryby, ale i niszczone konkurencyjne dzieła. Praktyka kopania stawów była jednak surowo tępiona z racji niszczenia

¹⁷ pochwała otyłości

nawierzchni miejskiej. Zniszczone drogi zaś mogłyby wpłynąć tragicznie na losy miasta podczas hipotetycznego oblężenia. Brak szybkiego dostępu do najbardziej newralgicznych punktów nie był tym, o czym marzą i śnią oblężeni.

“Leniwe” ulice zamierały. Jeśli ktoś nimi spacerował, to tylko z racji bycia turystą bądź Obywatelem, który właśnie w tej przecznicy upatrywał sobie skrót w swej drodze do celu. Nic się nie działo, bowiem wszyscy tkwili w domach i w większości z wielką radością w sercu zostawiali tam, leżąc w łóżkach i rozkoszując się dniem wolnym. Nie podejmowano żadnych działań przeczących filozofii przyjętej przez alejkę. Zero dekoracji, zero ruchu, zero zapachu do czegokolwiek. Hasłem przewodnim, rozbrzmiewającym zaraz po lub jeszcze w trakcie jakiegokolwiek prośby bądź groźby wystosowanej do leniwego, było “*Den telo na*”¹⁸. Publiczną tajemnicą był fakt, iż właśnie o ten “patronat” starali się wszyscy pragnący świętego spokoju na ten dzień. O prawdziwym szczęściu mogli mówić ci, którzy mieli rodzinę posiadającą swoje cztery kąty na “leniwych” adresach. Jeśli nie chcieli uczestniczyć w jakiś sposób w pierwszym dniu, po prostu dzień wcześniej szli mieszkać do krewnych. Popularne było też wynajmowanie pokoi dla obcych Obywateli pragnących spokoju.

Gdzie można było doświadczyć wszystkiego naraz? Znaczących, takich właśnie miejsc się zazwyczaj szuka, gdy chce się zobaczyć jak najwięcej w jak najkrótszym czasie, będąc na przykład tylko przejazdem, załatwiając jakąś sprawę w Stolicy, a do tego widząc miasto pierwszy raz. Wiadomo, kuc interesu nie będzie tracił czasu na żmudne, długie i nużące wyprawy po całym mieście w poszukiwaniu i doświadczeniu wszystkiego, co oferuje ten dzień. Wycieczki mające w planach jeszcze odwiedzenie wielu miejsc na swojej trasie też wołały mieć wszystko na miejscu. Dla takich kucyków, gryfów, zebr i innych, były ulice “zazdrośne”. Ich mieszkańcy wyprawiali się w wigilię pierwszego dnia na łowy, przynosząc to, co im się spodobało u innych. Przez noc sklecali wszystko w jedną całość, by od rana puszyć się i zazdrościć sąsiadowi, który przywłaszczył sobie coś lepszego. Nic nie stało na przeszkodzie, by mu to odebrać. Niech nie dziwi podobieństwo zachowań ulic “chciwych” i “zazdrośnych”, bowiem te dwa aspekty są niezwykle do siebie podobne i wiążą się jeden z drugim. Faktem jest też, że kieszonkowcy także i tutaj występowali dość często, jednak w porównaniu do ulic chciwych było ich znacznie mniej. Turyści także nie byli do końca zachwyceni. Bo w sumie wystrój był dość mieszany, tworzył swoisty kolaż, a przez to był nielogiczny i nieharmonijny. Czasem nawet wręcz kiczowaty, ale hej, tak właściwie to tylko wersja demonstracyjna! Na to święto trzeba po prostu przyjechać i w pełni doznawać wszystkich uciech, jakie oferuje uliczki.

Chaos w zasadzie był normalny i nikogo to w sumie nie dziwiło. Całe miasto, zachowujące się jak jeden wielki wrzący ul, nurzający się w przyziemnych płytkich przyjemnościach, miało takie być – chaotyczne, brudne, splugawione grzechem i hedonizmem. Pierwszy dzień *Imera ton Nekron* symbolizował życie, jednak to, które wiemy teraz, jako naznaczeni grzechem zdradzieccy synowie i wiarałomne córki Matriarchini. Oprócz incydentów na ulicach “gniewnych”, władze i służby miejskie nie interweniowały. O ile brak ingerencji władzy

¹⁸ “Nie chce mi się”

był tłumaczony jako pewnego sensu niemożność bezpośredniego wpływu Matriarchini na życie, tak brak akcji ze strony służb tłumaczono faktem, iż zdrowy rozsądek i sumienie zanikają, gdy prowadzimy taki styl bytu.

Zachodzące słońce pomału wyciszało ul, jakby niższa temperatura powodowała tężenie i zamarzanie tłumy. Wiadomo było, iż powoli zbliża się koniec dnia. Sprzątano wszystkie ozdoby, dekoracje i instalacje, ostatni poszkodowani trafiali do szpitala, zaś lenie ze smutkiem musieli się ruszyć, by zasłonić swoje okna grubą czarną tkaniną. Oto wraz z końcem dnia kończył się pełen grzechu i nieprawości czas, przypominający doczesność. Nie było światła, wszystko było gaszone niczym płomień życia chwilę po agonii. Każdy wracał do siebie, do swojego domu w ciszy. Przerazającej ciszy, podsycanej echem niedawnych biesiad i bijatyk. Żeby to chociaż ktoś drzwiami trzasnął, wchodząc do mieszkania – a skąd! Wszyscy zwieszali głowę, jednak trudno orzec, czy robili to z racji zwyczaju, czy z racji faktu ukończenia (zdaniem wielu) najlepszego dnia w ciągu tego święta. Po tym, gdy ostatni kucyk schował się w swoim azylu, nadchodził czas ciemności. Gasły latarnie, lampki, wszelkie źródła światła. Noc zaś robiła się zimna niczym nieboszczyk i mglista jak jego spojrzenie. Nastawał *galithos*, nowy miesiąc, w tradycji uznawany za “zwycięzcę” sporu o dzień i odpowiedzialny za depresje sezonowe. Trudno bowiem być szczęśliwym, widząc nagie bezlistne drzewa, pochmurne szare niebo, mgłę oraz coraz bardziej czarne opadłe liście, poddane czasowi i procesom gnilnym.

Taki też był i poranek pierwszego *galithosa*. I w zasadzie na tym kończyło się większe ponuractwo. To prawda, że ten dzień z założenia był dniem pokuty, ciszy, kontemplacji swej śmiertelności i ogólnonarodowego smutnego nastroju. Gdzieś jednak jakiś trybik nie przeskoczył, mechanizm myślowy nie zadziałał jak powinien, a myśl została spaczona dniem pierwszym. Prywatnie w domach nadal trwały imprezy czy biesiady, co nie powinno mieć miejsca, a już zwłaszcza nadużywanie alkoholu. Nikt jednak nie przeszkadzał ani nie donosił, bowiem było to bezcelowe.

Bładym świtem, przy bramach cmentarnych ustawiały się stoiska z towarami dla odwiedzających *koimoiterion*¹⁹ bądź mówiąc bardziej potocznie *nekropolis*²⁰. Drugi dzień bowiem był tym, w którym rodzinie, gromadnie szło się do koimoterionu, dekorowało się groby kwiatami i zapalało *tafosos*²¹ jako wyraz pamięci i modlitwy za zmarłego członka rodziny. Tradycja ta sięga początków istnienia państwa. Zaczynano od miseczek napełnionych woskiem, w których zatapiało knot, bądź po prostu zapalano świecę. Z czasem rozmiar, kształt i wzór się zmieniał i nie było w tym nic dziwnego, jeśli wziąć pod uwagę zwykłą pychę i zazdrość. “Jak synowa śmie postawić lepszy *tafosos* niż mój na grób mego męża? Należy zamówić u garncarza nowy, lepszy model, żeby pokazać, jak bardzo go kochałam i Kocham!”.

Trzeba przyznać, że gliniane *tafososy* osiągały czasem spore rozmiary, były skomplikowane, pieczołowicie wykonane, nieraz także i malutkie, filigranowe, nawet ruchome.

¹⁹ cmentarz

²⁰ “miasto umarłych”, czyli także cmentarz

²¹ luźny związek słów “światło” i “grób” – “światło grobowe”, czyli znicz

Zawsze jednak nadwątlaly majątek rodzinny, i nie ma tu żadnej hiperboli, jeśli się zwiedzi miejskie muzeum tafofosów, w którego gablotach można poczytać zachowane z tamtego okresu cenniki, jak i karteczki, które podają cenę dzisiejszą, przeliczoną przez historyków Cesarstwa. Prawdziwe poświęcenie dla zmarłego godne było znicza w kształcie zamku czy nawet latarni morskiej, i to z obracaną częścią, która świeciła! Do dziś zachowało się kilka okazów takich cacuszek i tkwią za szybą wystawową Muzeum Cesarskiego. Nie skończyło się jednak na glinie. Wraz z nawiązaniem kontaktów z Szin–Czinma zaczęła się krótka epoka porcelanowych tafofosów, całkiem praktycznych zresztą z racji łatwości w wymianie wosku i knota. Wtedy także wynaleziono sposób, w jaki powinno się tworzyć rzeczy z porcelany, jeśli te miały prześwitywać. Prawdziwą furorę, która w zasadzie trwa do dziś, zrobiły tafofosy szklane. W pierwszych latach to był wyznacznik pozycji i luksusu. Nie dość, że łatwo można wymienić wkład (zrezygnowano z bezpośredniego lania wosku do naczynia, ponieważ szkło się brudziło), to jeszcze przeświecało. A w dodatku można było wybrać swój ulubiony kolor! Szybko jednak okazało się, że łatwość produkcji przełożyła się na podaż, a ta na spadek cen i dostępność dla szerszego grona. Dziś szklany znicz jest wart cuprusy²², zaś do łask wracają gliniane miseczki wypełnione woskiem i z czterema knotami.

“A do tego kwiaty. Najlepiej piękną kulę chryzantem, taką ładną, żółtą, wywindowaną do ceny trzydziestu aureusów z racji święta. To dobra cena, zwłaszcza że tam już są po trzydzieści pięć. Niech dziadunio ma, niech inni patrzą, jak bardzo jest kochany i pamiętany, my to okazujemy, dbając o jego grób bardziej niż o niego samego, gdy jeszcze żył. Niech rodziny pochowanych w sąsiednich dołach wiedzą o miłości. W zasadzie chryzantemy będą jeszcze żywe jakoś przez tydzień, zupełnie jak dziadek po ataku serca w szpitalu. Ach, to nawiązanie jest bardzo głębokie. Te kwiaty za trzydzieści aureusów są metaforą dziadka. A do tego może jeszcze ten gliniany znicz, bardzo ładny, tylko cholernie drogi. Ale dziadek jest tego wart.”

Szybka modlitwa i tyle ją widzieli. Ulubioną wnuczkę.

W tym wszystkim jest jednak odrobina dobra. Na nią trzeba poczekać, aż większość powróci do swych domów jeść bigos z kiszzonej kryształowej kapusty, prosząc szwagra o polanie czy jeść suche ciasto ciotki i plotkować o nowej diecie. Nikt bowiem nie zabiera kwiatów czy zniczy do siebie, one wszystkie zostają tam, w *mieście umarłych*. Słońce musi się schować za szarymi, ciężkimi chmurami. Wtedy zaczyna się magia tego miejsca, święta i ogólnie całego biegania po cmentarzu od krewnego do krewnego. Pośród ciemności, grozy i przerażenia, na pomnikach zwycięstwa śmierci, stoją światła. Małe światełka, żółte, niebieskie bądź czerwone, w zależności od koloru szkła znicza. W dodatku prawie nie widuje się grobów bez światełek. One zawsze, jakie by nie były, mają choć jedną lampkę. Lekki zapach palonej parafiny unosi się w powietrzu. Te wszystkie światełka to dowód wiary, nawet jeśli takiej trochę wymuszonej czy też niezbyt szczerzej. I jest ich tak wiele. Zdają się one krzyczeć, każde za tego, kto spoczywa pod płytą, na której stoją: – “My żyjemy! My istniejemy! Nie daliśmy się śmierci!”. Piękny to

²² od “cuprum”, czyli “miedź” – odpowiednik groszy

widok. Główną jednak "atrakcją" jest centralny pomnik Matriarchini *Nikitis tou Thanatou*²³, pod którym zazwyczaj się składa znicze, jeśli nie można tego zrobić na grobie ukochanej osoby, na przykład z racji odległości i niemożności dotarcia. Zazwyczaj jest ich tam kilka, jednak co jakiś czas jest ich całe pole. Cała połać ziemi pokryta zniczami, rozjaśniającymi mroki i ponurość nekropolii, a także zwalczającymi wszechobecne zimno. Każdy z nich, każda z lampek, jest niemym, jasnym krzykiem - "Ocal nas od zapomnienia!", "Ocal nas od śmierci!". Tych okrzyków jest cała polanka, gdyby zaś zliczyć po jednym na głowę – cały legion. Jest to coś, co powinien ujrzeć każdy, nawet jeśli nie wierzy w Matriarchinię.

A potem koimoterion całkowicie pustoszeje. Przed wejściami ostatni sprzedawcy tafofosów i chryzantem zwijają swoje manatki. Wrócą tu jutro, tak jak i rodziny leżących w grobach. Nekropolis staje się wtedy ciche, jednak nie nieme. Umarli zaczynają swoje prawdziwe święto, tańcząc, jak płomienie w świeczkach na ich grobach, pijąc, jak podlane i przed chwilą przyniesione chryzantemy, i jedząc tak, jak robaki jedzą ich ciała. A na koniec zasypiając, jak zrobili to kiedyś i na zawsze.

Tafofosi nie pojawiały się tylko na publicznych nekropoliach, bowiem i koimoteriony nie były jedynymi miejscami, gdzie chowano zmarłych bądź też oddawano im cześć. Basileusów, na przykład, nie chowano pospółu ze zwykłymi "śmiertelnikami", ponieważ oni, jako stan niższy, nie mieli do tego prawa, zaś dla basileusa byłoby to "pośmiertnym policzkiem", zdeptaniem oraz potępieniem jego majestatu. Cóż, Śmierć puka do wszystkich drzwi jednak, nawet i tych porfirogeneckich. Kiedy cesarz umiera, żałobą okrywa się cały kraj. Płaczki lamentują nad brakiem bazyleusa, przedstawiciela łączności między Matriarchinią a Obywatelami. Lamentują także nad losem państwa, które bez głowy nie pożyje długo. Pół biedy, gdy imperator miał potomka w wieku dojrzałym, pal sześć także, jeśli był zbyt małoletni na objęcie władzy. Jednak bez nikogo, kto mógłby obrać domenę po poprzedniku, nastawał chaos. O tym jednak innym razem. Purpurowego Nieboszczyka zazwyczaj składano w głównym kościele miasta i całego cesarstwa, a konkretniej w katakumbach. Wielcy zaś, którzy się zatroszczyli o swój pochówek za życia, chowani byli w kapliczkach wybudowanych przy kościele.

Dużo zniczy pojawiało się także obok pomnika ofiar katastrof morskich oraz osobno wybudowanego pomnika, upamiętniającego tą szczególną, która zostawiła w sercach i umysłach Obywateli niezabliźniające się zadrapanie, małe, jednak bardzo bolesne. Oto bowiem pływający pomnik pychy, bogactwa i chwały Imperium, który wypłynął w Święto Mórz i Oceanów w swój dziewiczy rejs do leżącego na przeciwnym brzegu oceanu Manhattanu, czwartego dnia po opuszczeniu doków Stolicy zatonął na skutek zderzenia z dryfującym lodem. Jak podawano w gazetach, "niezatapialne" cudo techniki poszło na dno w dwie godziny, zabierając ze sobą 1700 dusz. Tragedia ta nie spotkała sobie równej pod względem liczby ofiar. To wszystko, co można by było powiedzieć na ten temat, gdyby nie jeden aspekt – zatonąła duma i chluba Imperium, której budowę wspierał nawet basileus ze swoich prywatnych pieniędzy. Katastrofa ta była policzkiem wymierzonym w utopijnych myślicieli, sądzących, że nic już nie powstrzyma

²³ "Zwyciężczyni Śmierci"

Cesarstwa przed byciem największą potęgą na całym globie. Była to tragiczna, jednak cenna lekcja pokory. Jak co roku nie ubywało tafofosów ani kwiatów. Czas wydawał się nie mieć wpływu na leczenie tej rany.

Tak kończył się dzień drugi, dzień skupienia się na śmierci i jej kontemplowania. Nawet jeśli w domu czekał gorący bigos, to mimo jego zniewalającego zapachu i ciepła buchającego z garnka, tak przecież przeciwnego do ziąbu na dworze, prawie każdy odbył swoistą pielgrzymkę, by spotkać się z przeszłością, a i zarazem przyszłością. Bo czymże innym są odwiedziny swoich zmarłych krewnych, należących do przeszłości, i obcowanie ze swoją nieuchronną przyszłością – śmiercią? To prawda, nie wszyscy przeżywają ten dzień jak należy. Jednak to święto jest cykliczne i prędzej czy później będą musieli przebyć tę drogę na duchowe spotkanie z przeszłością, jak i zarazem swoją przyszłością. Bez wyjątku.

Nadchodził i trzeci dzień, często też nazywany Świętem Światła, najprawdopodobniej z racji milionów światełek porozwieszanych wszędzie. Zaczynając jednak od początku, chronologicznie, święto to zaczynało się po północy i to wtedy zaczynało stroić kamienice. Każde, czy ich właścicielem był przedsiębiorczy p'any²⁴, mający także kilkanaście innych, czy też podrzędny właściciel jednej z obskurniejszych budowli w mieście. A dekoracjami na ten dzień było wszystko, co wydzielało jakiejkolwiek światło. Świece, lampy na olej skalny, luminescencyjne soki ze świecącego mchu, świecące kryształy czy nawet magia... Wszystko to miało jeden cel – rozświetlić mrok. Rację miał ten, który z niedalekich od miasta szczytów gór podziwiając nocną panoramę, zakrzyknął, że widzi wyspę światła. Ten dzień był światłością właściwie samą w sobie. Nie gaszono bowiem lamp, gdy nadchodził dzień, gdyż miało to także swoją symbolikę. Wszak te lampki przypominały te same, które stały na grobach w *nekropolis* w całym Cesarstwie. Gdy słońce stało w zenicie, wierzono, że w tym momencie wszyscy zmarli w ciągu poprzedniego roku, jaki dzielił kolejne *Imera ton Nekron* od siebie, dostają się do Matriarchini. Źródła światła zostawiano same sobie, by płonęły aż do momentu, gdy słońce zajdzie, jakby "zabierając" ze sobą wszystkich płomieni. Trwały także uczty, jednak nie już takie dzikie, jak na ulicach obżarstwa. Najchętniej wyjeżdżano poza miasto, na łąki, tam rozpalano ogniska, ustawiano stoły i jedzenie. Duża część mieszkańców wołała zjeść w zaciszu swego domu, co też mogli zrobić. Jedzono lekko, acz smacznie, wszystko było stonowane i wyśmienite. Ubierano się w białe lniane szaty, co miało symbolizować czystość duszy. Dzień Światła różnił się diametralnie od dwóch pozostałych – od pierwszego był o wiele bardziej "czysty" i "nieskalany", zaś od drugiego o wiele bardziej jasny, radosny i pogodny.

Wraz ze zmierzchem kończył się i dzień trzeci, i całe święto *Imera ton Nekron*, przyciągające, jak właściwie każde święto w stolicy, rzeszę gości i turystów spoza jej murów. Czy są tutaj z jakiegoś powodu? Z pewnością. Zazwyczaj czysta ciekawość i chęć odkrycia nowych doznań powodują chęć przyjazdu. Większość z nich wraca w pełni usatysfakcjonowana i ogołocona z pieniędzy do swych domów, zdecydowana mniejszość wraca jakby z pustymi rękami. Jest jednak spora grupka, która dostrzega prawdziwe znaczenie tego święta, jego

²⁴ "kucyk" w jidysz

mistykę, całą symbolikę i *sacrum* pośród wszechobecnego *profanum*. Jak wiadomo, Śmierć puka jednako do drzwi Porfirogenetów, jak i biedoty. Jest ona niepożądana niczym zaraza. Czy jednak zrozumie się jej prawdziwą rolę? Każdy zdecyduje za siebie.